

Janusz Sławiński

Bez przydziału (VII)

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (54/55), 151-163

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Fragmenty

Janusz SŁAWIŃSKI

Bez przydziału (VII)

*

Znacie bajkę o markizie de Saussure, majątnym ojcu dwóch córek? Jedną – nosiła ona imię *Langue* – nad wszystko ukochał, otaczał ją troskliwością i zbytkiem, wreszcie bogato wyposażył; do drugiej – o imieniu *Parole* – wyraźnie nie miał serca, mało poświęcał jej czasu i uwagi, nie martwiło go, że jest dzieckiem nad wyraz cherlawym, w testamencie zapisał jej mniej niż niewiele, skazując tym samym na trwałe rezydowanie w majątku bogatej i pięknej siostry. Dramatowi nieszczęśliwej *Parole* obojętnie przyglądał się syn markiza – bo ten miał też syna imieniem *Langage*, starszego od obu córek – osobnik zresztą wyjątkowo apatyczny, ospały i bez wyrazu...

25 IX '87

*

Innowacje, jakim podlegała poetyka pod wpływem lingwistyki generatywnej (w latach sześćdziesiątych i później), przez niektórych uważane w swoim czasie za prawdziwy przewrót w wiedzy o mechanizmach tekstu literackiego, w niewielkim tylko stopniu, co widać dziś wyraźnie, naruszyły klasycznie strukturalistyczny fundament owej wiedzy. Nadal bowiem jedynym poważnie traktowanym układem odniesienia dla inicjatywy wypowiedzeniowoczej (tekstowej) autora pozostawała potencjalna sfera wypowiedzialnego, jakkolwiek lokowana już teraz nie w systemie językowym (i literackim), lecz w strukturze głębokiej tekstu. Mieszcząc w sobie schematy elementarnych jednostek tekstowych oraz składniowe i semantyczne reguły ich kombinowania i przekształcania, stanowi ona życiodajną siłę tekstu: z niej to bowiem, poprzez cały ciąg transformacji, wyrasta dopiero indywidualne skomplikowanie jego struktury powierzchniowej. Z drugiej strony, gdy wychodzimy w procesie analizy od tekstu już w pełni wyposażonego i ukształtowane-

Fragmenty

go, struktura głęboka jawi się nam jako jego nieredukowalna ostoja i gwarancja tożsamości. Można bowiem drogą kolejnych pociągnięć analitycznych sprowadzać tekst do ukształtowań coraz prostszych, pozbawiając go stopniowo cech indywidualizujących, wreszcie jednak dochodzi się do obligatoryjnego poziomu organizacji syntaktyczno-znaczeniowej dalej już nieuprzedzonego, do gramatycznego fundamentu tekstu. Jest to kres analizy: docierając do mechanizmu pracującego w strukturze głębokiej, badacz znajduje się tam, gdzie tekst skrywa swoją potencjalność, swoje „być może”, a więc minimalne warunki swego istnienia. Rzecz jednak w tym, że ów odnaleziony mechanizm bynajmniej nie jest jedno-jednoznacznie przyporządkowany temu czy innemu tekstowi; dokładnie bowiem taki sam działa w głębi wszystkich tekstów należących do jakiejś wspólnej kategorii (np. narracyjnych). Wszystkie one są wyprowadzalne z jednej Struktury Głębokiej; w niej ostatecznie znajduje oparcie ich fenotypowa różnorodność.

Poetyka generatywna żywiła nie skrywane upodobanie do owej maszynerii logiczno-semantycznej, która, poruszając się uporczywie i monotonicznie wedle zadanego jej programu, byłaby zdolna powielać bez końca uniwersalne schematy tekstowej organizacji. W stronę tego rodzaju maszynerii prowadziły dociekania nad tzw. gramatykami narracyjnymi, zrazu niezmiernie atrakcyjne i wiele obiecujące, które rychło ugrzęzły w nużącej powtarzalności swoich rozpoznań. Wraz z nimi wyczerpała się, na trudny do określenia czas, moc problemotwórcza strukturalno-semiotycznego nurtu poetyki, w którym tekst ciekawił przede wszystkim jako wytwór dający się objaśniać w terminach swojej potencjalności – niezależnie od tego, jak ta potencjalność bywała nazywana: systemem językowym (*langue*), kodem, genotypem lub strukturą głęboką. Nie miało też znaczenia, w którą stronę biegnie analiza: czy od systemowych możliwości do tekstowej aktualizacji, czy odwrotnie. I tak bowiem, i tak wszystko, co dla tekstu ważne, rozstrzyga się poza jego żywą obecnością – tam, gdzie go jeszcze nie ma lub już go nie ma.

12 VIII '87

*

Gdy na początku lat siedemdziesiątych kończyliśmy pracę nad *Słownikiem terminów literackich*, termin „intertekstualność” – wprowadzony, jak wiadomo, w obieg przez Julię Kristevę u schyłku poprzedniego dziesięciolecia – zdołał już dostarczyć, niczym nowa zabawka, miłych przeżyć admiratorom francuskiego strukturalizmu. Miałem go w swojej ewidencji, jednakże nie uważałem wtedy, by zasługiwał na uwzględnienie w *Słowniku*. Wydawał mi się jednym z owych nieprzeliczonych a nietrwałych tworów nazewniczych, które wciąż rodzą się w naszej dyscyplinie i, podobne jednodniowym motyłom, niezauważalnie umierają.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że intertekstualność jest po prostu na parysko-bałkański sposób przyrządzoną Bachtinowską dialogowością. Nikt zresztą nie ukrywał tych źródeł. Kiedy czytało się, że polega ona na „interakcji tekstowej, która się wytwarza wewnątrz tekstu”, że „każdy tekst kształtuje się jako mozaika cytatów”, że każdy jest „pochłanianiem i transformacją innego tekstu”, czy też stanowi

Sławiński Bez przydziału (VII)

„miejsce przecięcia różnych tekstowych powierzchni” (slogany Kristevej, wielokrotnie przez innych komentowane) – odnosiło się nieodparte wrażenie, że głównym uzasadnieniem dla takich i im podobnych formuł pozostaje uparta potrzeba powtórnego wypowiedzenia problematyki Bachtinowskiej za pomocą słów innych niż użyte przez Bachtina, potrzeba parafrazy zdolnej przysłonić oryginał.

Od razu zatem sprawa intertekstualności bardziej przypominała szczęśliwe odnalezienie rzeczy przedtem zagubionej niż odkrycie przedmiotu dotąd niedostępnego. I nie tylko dlatego, że spoza najbardziej nawet efektywnych jej wysłowień prześwitywały Bachtinowskie rozpoznania i definicje sprzed paru dziesięcioleci; również, a może przede wszystkim, dlatego, że obserwacje szczegółowe idące w ślad za generalizacjami teoretycznymi, dotyczące rozmaitych odmian intertekstualności, pokazywały ponad wszelką wątpliwość, że chodzi o mechanizmy tekstotwórcze całkiem niezłe już znane retoryce, stylistyce i poetyce, bynajmniej nie bezimienne czy pozostawione w zaniedbaniu. Cytowanie, kontaminacja formuł, operowanie kliszami, parafraza, zabiegi stylizacyjne, parodia, ironiczne powtórzenie, różnorodne sposoby skrywania słowa właściwego w kształtach innych słów (anagramy, paragamy...) – o wszystkich tych zjawiskach, a i o całej masie im pokrewnych, wiedziano już dotąd niemało i przyrost tej wiedzy nie ulegał wcale zauważalnemu przyspieszeniu wraz z nadaniem im nowej nazwy zbiorczej. W sumie więc miałem prawo sądzić, że niewiele przemawia za tym, by „intertekstualność” włączać do standardowego dykjonarza terminów literaturoznawczych. Użyteczność tego terminu wydawała (mi) się co najmniej problematyczna i trudno było mu wróżyć szczęśliwą przyszłość.

Gdy jednak, po upływie dziesięciu lat, przygotowywaliśmy uzupełnienia do nowego wydania *Słownika*, nie sposób już było wątpić, że musi się wśród nich znaleźć na jednym z pierwszych miejsc. Nie tylko bowiem – wbrew rozsądnym przewidywaniom – na dobre zadowolił się w „poststrukturalistycznym” dyskursie literaturoznawczym, ale – co więcej – okazał się w tym kontekście jednym z terminów najbardziej ekspansywnych i problemorodnych: z imperialistyczną zaborczością zagarnia dziś pod swoje panowanie rozmaite regiony zagadnień tak z zakresu poetyki tekstu, jak badań nad komunikacją literacką i procesem historycznoliterackim. Niepodobna w tej chwili ustalić granic obszaru jego pojęciowych i przedmiotowych odniesień, gdyż zbyt dużo kręgów problemowych zdołano już o niego zaczepić. Można zapewne dokonać jakiejś enumeracji owych kręgów, nie kłopotząc się o ich teoretycznie zasadne ułożenie, ale niewiele ponadto. Każdy z użytkowników zaborczego terminu jest oczywiście władny podejmować arbitralne decyzje dotyczące jego zastosowań, przywoływać go do porządku, rozstrzygając, które z możliwych zastosowań są uprawnione, a które należałoby wykluczyć. I tak właśnie powinni czynić – i czynią – poważni uczeni.

Gerard Genette w swej potężnej rozmiarami książce z 1982 roku, prawdziwej fabryce nazewniczej, miano intertekstualności zarezerwował dla jednej z pięciu dzielnic rozległego państwa ochrzczonego przezeń imieniem transtekstualności (obok paratekstualności, metatekstualności, hipertekstualności – która go głów-

Fragmety

nie zajmuje – oraz architekstualności). Tymi samymi tropami poszedł Michał Głowiński, jakkolwiek miał różne szczegółowe zastrzeżenia do rozróżnień Genette'a; uważa on za słuszne, by kategorię intertekstualności odnosić wyłącznie do empirycznie stwierdzalnych nawiązań danego tekstu do wcześniejszych odeń konkretnych tekstów. Henryk Markiewicz z budzącą podziw starannością wyodrębnił i ponazywał wszelkie dające się wyobrazić i wyśnić „odmiany intertekstualności” (a właściwie – transtekstualności), wychodząc zapewne z założenia, że w taki sposób najlepiej może się przysłużyć tym, co w przyszłości zapragną oświadczyć cokolwiek odpowiedzialnego w rzeczowej kwestii.

Nie wiem jednak, czy byloby to oczekiwanie wystarczająco realistyczne. Wprawdzie jako akademicy roztrząsacze literatury mamy profesjonalny obowiązek dbania o to, żeby terminy, które nam służą, nazywały zjawiska porządnie wyodrębnione, żeby nas kierowały ku czemuś intersubiektywnie określone, i żeby ich użycia podlegały możliwie najdalej idącym restrykcjom semantycznym, to jednak w swojej praktyce dość często stykamy się z okolicznościami, w których ta chwalebna troska – jakkolwiek by to dziwnie zabrzmiało – nie zasługuje na bezwarunkowe poparcie. Wiadomo wszak, że w dyscyplinach humanistycznych występują – i grają ważną rolę – również i takie terminy, które swą funkcjonalność zawdzięczają w dużej mierze znaczeniowej nieokreśloności. Nie mogą one podpadać pod kryteria nazw, gdyż nazywanie pozostaje ich funkcją drugorzędą, a po prawdzie – całkiem peryferyjną. Są natomiast swego rodzaju drogowskazami, hasłami programowymi czy środowiskowo powtarzanymi zawołaniami, mobilizującymi i ukierunkowującymi wolę badawczych dociekań. Do takiej właśnie rodziny terminów-drogowskazów, terminów-haseł, terminów-zawołań należy dziś bez wątpienia „intertekstualność” – i to decyduje wciąż jeszcze o heurystycznych walorach tego napuchłego znaczeniami terminu.

W swoich wielorakich zastosowaniach odsyła do bardzo różnych trybów sadowienia się utworu w uniwersum literatury, i także szerzej: w uniwersum twórczości słownej, zarazem jednak wszystkie je umieszcza w jakimś hipotetycznym w s p ó l n y m polu zainteresowań, czyni je aspektami jakiejś jednej – choć trudnej do wyobrażenia – całości, która przyświeca z dala, niczym obietnica, każdemu, kto na to pole z jakiegokolwiek bądź strony wkroczy. Rozprawianie o intertekstualności, niezależnie od tego, jak szczegółowych jej przypadków dotyczy, kieruje się tak czy inaczej ku owej domysłnej i nie dającej się skontualizować całości. W niej znajduje poniekąd rację bytu dla siebie, a zarazem swe przypuszczalne dalsze ciągi, dopowiedzenia i uzupełnienia. Gdy próbuje się na tym rozległym i bezkształtnym polu problemowym zaprowadzać porządek w taki sposób, że się najpierw rygorystycznie ogranicza jego rozmiary, odcinając różne niewygodne rejony i pozostawiając jedynie terytorium bezsporne i – rzecz można – rdzenne, to takie działania dyscyplinujące pociągają za sobą beznadziejną banalizację tego, co miało się zamiar ulepszyć. Cóż bowiem okazuje się wtedy gruntem najpewniejszym z pewnych? Oczywiście to, co potrafimy w miarę dokładnie dostrzec i skategoryzować, a więc zjawiska, do których znaleźmy już dobrze drogę – zanim w ogóle

Sławiński Bez przydziału (VII)

zdążyła pojawić się sama kategoria intertekstualności. Jeśli na przykład uznać, że jest ona tożsama wyłącznie z tego rodzaju relacjami międzytekstowymi, co cytat, aluzja czy parodia, to nie wiadomo, po co miałyby być potrzebna. Zyskuje wprowadzić pożądaną określoność, ale ulega zarazem wyjałowieniu: traci zdolność stymulowania nowych konceptów teoretycznych, którą jej zapewniała właśnie owa trudna do tolerowania nieokreśloność.

Toteż wbrew wszelkim rozsądnym zaleceniom sam opowiadałbym się raczej za beztróskim przyzwoleniem na szerokie pojmowanie tej kategorii, za uznaniem – czasowo – legalności rozmaitych jej rozciągnięć, przeciągnięć i naciągnięć. Odnoszę wrażenie, że dopiero cały ten wprowadzany przez nią nieporządek: mieszanie zjawisk, które w świetle dotychczasowych doświadczeń powinny być starannie rozgraniczane, łączenie truizmów z paradoksami, szczegółowych i całkiem poczciwych obserwacji analitycznych z górnolotnymi deklaracjami teoretycznymi – jest autentycznym świadectwem ważnego przesunięcia zainteresowań, jakie dokonało się w domenie poetyki, pozwalając nam inaczej niż dotąd spojrzeć na jej główny przedmiot.

Najogólniej: kariera w latach siedemdziesiątych problematyki intertekstualności oznaczała wyzwolenie *parole* spod tyranii językowej potencjalności. Wszyscy naraz zgodzili się, że wypowiedź zawdzięcza swój status komunikacyjny (zresztą zawsze chwiejny) nie tylko i nie tyle gwarancjom systemowym, co przede wszystkim temu, że na niewyobrażalnie wiele sposobów odnosi się do uprzednich *paroles* – przywołuje je i przetwarza w sobie. Tekst wyszedł z cienia *langue* i oto jawi się naszym oczom jako „skrzyżowanie” innych tekstów, jako „mozaika” przytoczeń, jako *puzzle*, „palimpsest”, „kopia” czy „powtórzenie”. Nie mamy już wątpliwości, że swe najprawdziwsze życie zawdzięcza nie kodowym potencjom języka (i literatury), ale sytuowaniu się pośród tego, co zostało już powiedziane (napisane), relacjom do poprzedzających wyślowień, z których czerpie podniecie dla własnego istnienia i funkcjonowania. Odzyskaliśmy dla badań fenotypowy poziom tekstu: znudzeni szarą monotonią struktur głębokich, mogliśmy wreszcie prawomocnie cieszyć się wielokształtnością i wielobarwnością tekstowych p o w i e r z c h n i.

Ów drugi horyzont utworu pozostaje drugim wyłącznie w perspektywie logiki kształtowania się konceptów teoretycznoliterackich. W ujęciu umiarkowanie radykalnym odniesienie utworu do świata *paroles* jest równie uniwersalne, co jego determinacje systemowe. Pod tym względem nie ma fundamentalnej różnicy między „literaturą drugiego stopnia” (jak ją zwie Genette) a całą resztą twórczości słownej. Każda bowiem wypowiedź żyje z innych wypowiedzi i sama daje życie jeszcze innym. Każda musi zderzyć się z „już powiedzianym” i uewnętrznzić je, gdyż inaczej w ogóle nie dorosłaby do własnej tożsamości.

Ta radykalna koncepcja Bachtina-Wołoszynowa z końca lat dwudziestych, dająca historyczny początek problematyce intertekstualności (wyjątkowo mocny: późniejsza ewolucja tej problematyki w istocie nigdy nie przekroczyła owego pierwotnego radykalizmu), była w swoim macierzystym czasie zwrócona przeciw założeniom formalistów oraz ideom rodzącej się wtedy lingwistyki funkcjonalnej,

Fragmety

a generalnie biorąc – przeciw lingwistyce i poetyce nurtu posaussure’owskiego, prestrukturalistycznego i strukturalistycznego.

Prawdą jest jednak, że każda myśl ważna musi dopiero trafić na swój czas. Nurt, przeciw któremu Bachtin wytoczył swoją koncepcję l i n g w i s t y k i w y p o - w i e d z i (sam ją określał jako „metalingwistykę”), prawie w ogóle na nią nie zareagował wtedy, gdy się pojawiła. Podobnie zresztą, już po II wojnie światowej, obojętnie przepłynął obok antysaussure’owskiej lingwistyki Eugenio Coseriu, bardzo bliskiej skądinąd ideom Bachtina, choć powstałej całkowicie niezależnie od wpływu rosyjskiego myśliciela. (Nb. paralela Coseriu-Bachtin to temat pasjonujący, który czeka na swego badacza!). W istocie bowiem koncepcja ta była przedwczesna: zjawiała się, gdy strukturalizm pozostawał jeszcze zbyt mało strukturalistyczny na to, by mu były potrzebne jakiegokolwiek konfrontacje z alternatywnymi programami badawczymi. Musiał nie tylko dojrzeć, idąc za własnym impetem rozwojowym, ale osiągnąć nadto przejrzalność: dojść do takiego stopnia zużycia swego potencjału problemowego, aby ludzie nazywający siebie strukturalistami zyskali wyraźną motywację do wyjścia poza granice dotychczasowego terytorium preferowanych zagadnień. Czas taki nadszedł wraz z rozprzestrzenieniem się konceptów teoretycznych i technik analitycznych tzw. poetyki generatywnej, która walnie przyczyniła się do wyjałowienia gleby strukturalistycznej. Rzecz ciekawa, niejako współbieżnie z tym jałowieniem następowało odkrywanie odkryć Bachtina – niewątpliwego poststrukturalisty *avant la lettre*. I nie było to tylko dokopywanie się do zapomnianej przeszłości: właśnie w owym czasie zaczęły wychodzić na światło dzienne prace Bachtina powstałe później i znacznie później od rzeczy publikowanych przezeń na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, rozwijające różne wątki jego lingwistyki wypowiedzi – po części w nawiązaniu do całkiem współczesnych zainteresowań semiotyczno-poetologicznych (myślę o szkole tartuskiej). I to był główny impuls wyzwalający problematykę intertekstualności. Jej widnokrąg teoretyczny zakreślało na początku parę fundamentalnych tez odnoszących się do nieusuwalnej „dialogowości” mowy i roli „cudzego słowa” w konstytuowaniu wypowiedzi; tez, z którymi tak się ostatnio spoufaliliśmy, że łatwo nam się już mylą z banałami. Znamienne jednak, że recepcja w kręgu strukturalizmu (francuskiego) spłaszczyła je i wydatnie zubożyła ich sens. Jak wiadomo, dla Bachtina jednym z podstawowych wymiarów wypowiedzi (może nawet najważniejszym) jest, obok wydarzeniowości i kreatywności, wymiar p o d m i o t o w y, a więc to, że zawsze utrwała ona w sobie osobowy punkt widzenia, że celowy bieg nadaje jej inicjatywa komunikacyjna „ja”, które orientując swoją mowę wobec cudzych wypowiedzi, zarazem samo siebie określa jako człon relacji międzyosobowej. Dialogowość w jej różnych przejawach (wewnątrz utworu i między utworami) zakłada nieodmiennie jakiś rodzaj odnoszenia się podmiotu do podmiotu, kogoś do kogoś.

To personalistyczne nacechowanie Bachtinowskiej teorii wypowiedzi zupełnie wyparowało, gdy zabrali się do niej francuscy strukturaliści, Kristeva czy Barthes. Rozprawiali oni zresztą z naciskiem o t e k ś c i e, a nie o wypowiedzi; po to właśnie, by móc efektywnie usunąć z pola widzenia pierwiastek podmiotowości

Sławiński Bez przydziału (VII)

mowy. Tekst wyobrażali sobie jako miejsce uśmiercenia *ego*. Gdy Barthes usiłował przybliżyć generatywne ujęcie tekstu poprzez obraz nieprzerwanego splatania się i samoprzetwarzania tkaniny słownej, czuł się w obowiązku, by obraz taki dookreślić w pożądanym kierunku: „zagubiony w tej tkaninie podmiot rozplywa się niczym pająk pochłonięty przez konstrukcyjne sekrecje swej pajęczyny”. A czy trzeba przypominać Foucaulta, odrzucającego jako przebrzmiałe pytania: kto mówi?, kto ujawnia się lub ukrywa w tym, co mówi? i zdecydowanego, by w analizie wypowiedzi pozostawać konsekwentnie na poziomie jakowegoś „mówi się”. Są to antypody koncepcyj Bachtinowskich.

Interferencje i interakcje tekstów wypadało opisywać tak, jak gdyby dokonywały się samoczynnie: teksty po prostu wnikają jedne w drugie, imitują się nawzajem, transformują, układają w serie i konfiguracje, i tak dalej. Początek całemu ruchowi w przestrzeni intertekstualnej daje pozapodmiotowa „praktyka tekstowa” – siła prawdziwie mitologiczna. Gdyby mimo wszystko ktoś próbował ją upersonifikować, to dobrym przybliżeniem byłby obraz jakiegoś superinżyniera (nie dusz ludzkich wszakże), wyposażonego w sztuczną inteligencję, zatrudnionego przy skrawaniu, spawaniu i montażu tekstów. Nie tyle tekstotwórcy, co tekstoroba...

Jeśli więc radykalizm Bachtinowskiej lingwistyki wypowiedzi (każda wypowiedź obudowuje się tak czy inaczej wokół cudzego słowa) był zwrócony przeciwko fetyszyzowaniu systemowości mowy, to wtórny wobec niego radykalizm tezy, że „każdy tekst jest intertekstem” w pierwszej kolejności kierował się przeciw idei podmiotowości mowy.

14 VIII '87, 15 II '89

*

Ciekawe, że Bachtin obsesyjnie niemal zaprzątnięty dopowiadaniem i cieniowaniem swojej teorii w y p o w i e d z i, przygotowywał się w latach sześćdziesiątych do dużego studium o kategorii t e k s t u w naukach humanistycznych. Notatki i szkice do tego studium opublikowano pośmiertnie w 1976 roku. Wolno sądzić, że w zamyśle rosyjskiego myśliciela ważną rolę grał wzgląd na potrzeby efektywnego porozumiewania się z nurtem strukturalno-semiotycznym, którego rosnące znaczenie w humanistyce nie mogło nie być dla niego żywym problemem. Podejmując sprawę tekstu, chciał zapewne zbliżyć się – poniekąd wbrew sobie – do głównego obiektu zainteresowań tego nurtu; w taki wszakże przebiegły sposób, by z obcym sobie pojęciem związać możliwie najwięcej z tego, co dlań najbardziej swojskie. Starał się więc tak wymodelować pojęcie tekstu, by jawił się on w rezultacie jako przedmiot wspólny: strukturalistyczno-bachtinowski, sprawiedliwie jednak podzielony – o dwóch w odmienne strony zwróconych obliczach. Jedno odpowiada temu, co jest w tekście „powtarzalne i reprodukowalne”, zestandaryzowane, stereotypowe, odsyłające do systemu językowego: języka autora, języka gatunku, języka narodowego... Drugie oblicze to „niepowtarzalna indywidualność” tekstu, tekst jako zdarzenie, jako manifestacja wolności podmiotu i – w konsekwencji –

Fragmenty

jako obszar międzypodmiotowych relacji: dialogu, nakładania się i przenikania „głosów”.

Łatwo spostrzec, że drugie oblicze tekstu jest tożsame z tym, co Bachtin we wszystkich poprzednich pracach – od końca lat dwudziestych – rozważał konsekwentnie pod imieniem wypowiedzi. Nic zatem dziwnego, gdy wreszcie oświadcza, że chodzi mu w tym wypadku o „t e k s t j a k o w y p o w i e d ź”. Takie postawienie sprawy podprowadza do myśli, że być może równie zasadne byłoby – z drugiej strony – zdążanie ku charakterystyce w y p o w i e d z i j a k o tekstu. A myśl ta niemal automatycznie generuje jeszcze dalej idącą (jest ona chyba *implicite* obecna w dociekaniach Bachtina), że mianowicie rozprawianie o tekscie i wypowiedzi w ogóle nie owija się wokół dwóch osobnych realności, lecz dotyczy różnych aspektów jednej realności – utworu słownego, który uobecnia się badaczowi raz tak, a raz tak, stosownie do roszczeń poznawczych, jakie ten wysuwa wobec przedmiotu. Ich opozycję można, jak sądzę, przedstawić następująco.

Aspekt tekstowy wchodzi w grę, gdy utwór jest ujmowany:

1. jako obiekt wyzwolony z sytuacji komunikacyjnej, znajdujący się poza podmiotowymi relatywizacjami – w stanie bycia „niczym”, odłączony od autora i nie adresowany;
2. jako wytwór operacji w mniejszej lub większej mierze zalgorytmizowanych, które dają się na jego podstawie odtworzyć i opisać (nawet w sposób sformalizowany);
3. jako konstrukcja, układ elementów rozmieszczonych na sposób *quasi*-przeźrenny, uchwytne wzajem przyporządkowanych; jako coś „zrobionego”, „zmaistrowanego”, w czym można się rozeznacć niczym w jakimś technicznym urządzeniu;
4. jako układ odpowiadający normatywowi uprzednim wobec utworu, spełnianym już przez jakiś zbiór utworów – określającym typy dopuszczalnych elementów tekstowych i rodzaje powiązań między nimi; tekst realizuje sobą ponadindywidualny wzór tekstowej organizacji (również w taki sposób, że zauważalnie odchyła się od niego);
5. jako całość podatna na zabiegi analityczne, dająca się rozkręcać i rozkładać na czynniki pierwsze – naruszalna i przekształcalna;
6. jako przedmiot dający się bez oporu włączać w serie, grupy, systematyki – zaszeregowywać, klasyfikować, typologizować.

Z kolei z aspektem wypowiedziowym wiązałyby się następujące wskaźniki:

1. osadzenie utworu w sytuacji komunikacyjnej i konstytuowanie się w nim immanentnych sytuacji komunikacyjnych; zarówno utwór jako całość, jak i jego wewnętrzne rozwarstwienie, utrwalają punkty widzenia tych, co w nim mówią: autora i wszystkich podmiotów mowy przez niego wykreowanych; mowa w każdym ze swoich przejawów jest tu nieodmiennie zoriento-

Sławiński Bez przydziału (VII)

wana: zrelatywizowana względem aktualnych czy tylko implikowanych relacji międzypodmiotowych;

2. ukształtowanie wypowiedzi nie jest, w tym co dla niego swoiste, podobne do działań zalgorytmizowanych; ma bowiem charakter twórczy: posunięcia wypowiedzeniowótórcze zawierają element innowacji, nieregularności i nieprzewidywalności;
3. utwór nie uobecnia się nam jako konstrukcja, lecz przede wszystkim jako przebieg – czasowe dokonywanie się mowy, która narasta, reinterpretując w każdym momencie sens tego, co dotąd powiedziane i antycypując (jawnie lub skrycie) to, co ma być powiedziane później; relacje między odcinkami wypowiedzi nie są jednoznaczne: w procesie jej rozwijania się ulegają zmianom – odcinki owe przesuwają się jakby wobec siebie nawzajem, wchodząc w coraz to nowe połączenia i odniesienia;
4. indywidualne nacechowanie wypowiedzi powstaje jako swoista wypadkowa jej nieposłuszeństw i odchyień względem odpowiednich paradygmatów budowy wypowiedzi: gatunkowych, stylistycznych. Takim nieposłuszeństwem i odchyleniem zawdzięcza swój sens sama inicjatywa wypowiedzeniowótórcza; nic równie silnie nie motywuje jej i nie uwiarygodnia;
5. punkty 1, 2, 3, 4 tłumaczą, dlaczego utwór-wypowiedź pozostaje w naturalnej niezgodzie z procedurami analitycznymi, dlaczego wymyka się rozbiorem, stawia im opór, i dlaczego – analitycznie ogarnięty (bo przemocy musi tak czy inaczej ulec) – tak mało, albo zgoła nic, ofiarowuje badaczowi, który ma z niego akurat tyle, użyjmy słów Musila, „ile z delikatnego ciała meduzy wyciągniętej z wody i położonej na piasku”;
6. te same punkty – 1, 2, 3, 4, a na dodatek 5 – tłumaczą, dlaczego utwór-wypowiedź okazuje się nader niewygodnym obiektem zabiegów systematyzujących, dlaczego jego zaliczeniom do takich czy innych taksonomii towarzyszy na ogół konieczność wprowadzania do nich mało eleganckich rubryk przewidzianych dla przypadków granicznych, przejściowych, mieszanych, szczególnych i tym podobnych.

Tekst byłby tedy pokarmem właściwym raczej dla strukturalistów, wypowiedź – raczej dla hermeneutów?

29 IX '87

*

Koncepcja utworu słownego (tekstu, wypowiedzi) jako bytu bezwyjątkowo pochodnego – derywatu, naśladowania, przekształcenia, uznająca wtórność za jego cechę definicyjną, oznaczała pożegnanie z koncepcją ergocentryczną, w której utwór był uważany za ustrój kompletny i samowystarczalny: zamknięty mikrosmos, noszący w sobie prawa własnego porządku i sensu. Przekreślona została idea dzieła, które zdolne jest żyć – jak powiada Pierre Reverdy – „swoim własnym życiem, pod swoim własnym niebem, jak wyspa na horyzoncie”; idea wpierv bliska niektórym kierunkom awangardowym dwóch początkowych dziesięcioleci wieku,

Fragmenty

zanim stała się własnością myśli literaturoznawczej. Nie ulega zresztą kwestii, że także owa zastępująca tamtą idea, jaka wyłoniła się z zastanowienia nad intertekstualnym bytowaniem utworu, nie byłaby możliwa bez uprzedniego przyswojenia przez dwudziestowieczną świadomość literacką praktyk Joyce'a, Eliota, czy sztuki kołażu tekstowego.

Dzieło ani nie wynurza się z pustki uprzedniego nie-mówienia, któremu chwilowo kładzie kres inicjatywa autora, ani też nie trwa potem niby skamieniały pomnik mowy pośród nieprzeliczonych aktów recepcji, niezdolnych zagrozić jego raz zdecydowanej tożsamości. W rzeczywistości rodzi się w gęstwie, gwarze i zgiełku wypowiedzi, które wypełniają obszar doświadczeń językowo-literackich pisarza w danym momencie jego biografii. Przechowuje w s o b i e jakieś cząstki owego rozbrzmiewającego obszaru, w którym powstawało; jego wewnątrz jest trwale związane z jego prehistorią, zabudowane pre-tekstami. Z drugiej strony życie dzieła w odbiorach też dokonuje się w gęstwie, gwarze i zgiełku wypowiedzi: 1) na tle których jest czytane i interpretowane, 2) w których jest omawiane i komentowane, 3) które wyzyskują je jako część własnego tworzywa. W związku z tym jego obraz w oczach różnych pokoleń i środowisk czytelniczych nigdy nie jest statyczny; podlega zmianom (zwykle powolnym, ale bywa, że i nagłym) wraz z rozrastaniem się pola owych wtórnych uwikłań intertekstualnych. Jeśli więc ktoś upierałby się przy traktowaniu dzieła jako pomnika mowy, to należałoby dodać, że mniej przypomina ono pomnik z kamienia, o który rozbijają się fale morza jego lektur, bardziej – pomnik z gąbki, wchłaniający uderzenia fal...

Intuicyjnie uchwytana jest współzależność między obydwoma obszarami wypowiedzi, które utwór sobą wiąże, tzn. między jego „przedtem” i jego „potem”. Im rozleglejszy i bardziej synkretyczny pozostaje pierwszy obszar, i im więcej utwór z niego uwewnętrznia, tym prawdopodobnie bardziej bogata, urozmaicona i dramatyczna okaże się przestrzeń jego recepcji: wielość i różnorodność odczytań, komentarzy i nawiązań. Czy jednak nasycenie utworu odwołaniami do „już powiedzianego” zawsze jest źródłem (jednym ze źródeł) jego wieloznaczności, a zatem wielointerpretowalności? Odpowiedź bezwarunkowo twierdząca nie wydaje się trafna. Gdy bowiem odniesienia utworu są wyraźnie ukierunkowane, skoncentrowane na jakiejś ograniczonej grupie tekstów lub, w skrajnym przypadku, na jednym tekście, gdy więc mamy do czynienia z relacją, którą Gerard Genette określa jako hipertekstualną, z relacją nadbudowywania się utworu nad innym – wcześniejszym – utworem, wtedy ów utwór nadbudowujący się (hipertekst) wcale nie staje się przez to osobliwie polisemiczny, a przeciwnie: stanowczo zdąża właśnie do u j e d - n o z n a c z n i e ń. Cytaty, aluzje, parafrazy – kierujące do źródeł w pełni określonych, unieruchamiają go semantycznie, podobnie jak nitki Liliputów unieruchamiały Guliwera. Utwór, trwale przywiązany do swego hipotekstu (tak Genette wie tekst wcześniejszy), w nim jakby deponuje wykładnię swego sensu; jest to przypadek *Uliksa* Joyce'a. Natomiast rzeczywistością wieloznacznością obdarowany zostaje utwór s w o b o d n i e p ł y w a j ą c y po swojej prehistorii, zaczepiający się przelotnie o różne teksty, ale z żadnym definitywnie nie sprzęgnięty. Teoretycz-

Sławiński Bez przydziału (VII)

nym biegunem takiej uwieloznaczniającej intertekstualności byłby tekst-zszywka cytatów, coś w rodzaju centonu (*Finnegans Wake* Joyce'a).

Ale – rzecz ciekawa – nie mniej silne stężenie wieloznaczności, zapewniającej utworowi szansę nielimitowanej wielowykładalności, występuje na biegunie przeciwnym. Źródłem intensywnej wieloznaczności tekstu staje się jego stylizacyjna nijakość (jeśli jest konsekwentnie podtrzymywana), brak nacechowania kierującego ku innym tekstom, swoista neutralność równomiernie go oddalająca od wszelkich przejawów „cudzego słowa”. Taka mowa stylizacyjnie bezbarwna, znajdując oparcie jedynie w samej sobie, pozwala się przyporządkować nieskończenie wielu możliwym intencjom znaczeniowym, a każda z nich niepewna i zwodnicza (przypadek *Procesu* Kafki).

Bezgraniczna (rzekomo) wieloznaczność – tak fetyszyzowana przez dzisiejsze ideologie literaturoznawcze, żywiące upodobanie do wszystkiego, co paraliżuje możliwość efektywnej interpretacji tworu pisarskiego – wyrasta więc zarówno ze wzmożonej intertekstualności dzieła, jak i z jej maksymalnego wytłumienia.

25 VIII '87

*

W bezkresnym morzu spraw łączonych z intertekstualnością są przecież przynajmniej dwie wyspy problemowej określoności.

1. Najbardziej „klasyczna” część tej problematyki wysuwa do centrum uwagi utwór traktowany jako miejsce zamieszkiwania innych utworów (tekstów, wypowiedzi). Głównym bohaterem jest t e k s t w t ó r y przetwarzający w sobie teksty uprzednie. Podlegają tu uobecnieniu bądź w taki sposób, że się o nich w tym tekście mówi (są przedmiotem napomknięć, streszczeń, komentarzy, ocen *etc.*) – zarówno w wypowiedziach autorskich, jak w wypowiedziach podmiotu literackiego i w wypowiedziach postaci; bądź w taki sposób, że w przebieg tekstu wtórego zostają włączone jakieś ich odcinki: w formie dosłownych cytatów lub kawałków cytatópodobnych, mogące występować także na trzech poziomach – w mowie autora, w mowie podmiotu literackiego czy w mowie postaci; bądź wreszcie w taki sposób, że tekst wtóry odtwarza „gramatykę” określonych tekstów pierwotnych, przejmując od nich reguły i schematy własnego porządku – całościowo lub w ograniczeniu do pewnych części czy niektórych tylko poziomów swojego zorganizowania. Te trzy odmiany uwewnętrzniania przez tekst żywej obecności jego pre-tekstów mogą działać łącznie lub rozdzielnie; wystarczy wszakże wystąpienia już jednej, aby dało się mówić o zachodzeniu znaczącej relacji intertekstualnej.

2. Sfera zagadnień rozciągająca się wokół sprawy odbioru tekstu. Jest ona komplementarna wobec poprzedniej (p. 1). I w jednym, i w drugim wypadku obiektem uwagi pozostaje d a n y u t ó r, uchwycony jednakże w różnych stadiach jego historii naturalnej. Raz jest to faza, gdy utwór już wyslizguje się spod władzy autora, a jeszcze nie został pochwycony w sieci odbioru; następnie określony moment w dziejach jego odczytań. Jaki konkretnie moment – wszak jest ich niepoliczalnie dużo? Otóż, teoretycznie biorąc, każdy spośród tych, które są dostępne historyko-

Fragmenty

wi literatury, a więc poprzedzają w czasie jego własną lekturę (tę oto), a po wtóre, mają t e k s t o w e u t r w a l e n i a. Jeśli w tamtej perspektywie utwór jawi się jako rezultat operacji dokonanych na tekstach pierwotnych, to w tej drugiej sam okazuje się przedmiotem analogicznych operacji: jest naśladowany, cytowany, parafrazowany, parodiowany, kojarzony z innymi utworami.

Myśl, że wszelka lektura stanowi – w jakiejś mierze – działanie intertekstualne, wydaje się zupełnie oczywista. Wiadomo, że kulturowo-literackie wyposażenie czytelnika wyznacza mu każdorazowo dwa horyzonty: czytelny i dotąd przeczytanego. W akcie lektury ten pierwszy horyzont jest trwale obecny, lecz raczej jako granica możliwych doświadczeń czytelniczych, rzadziej jako czynny uczestnik konkretnego zdarzenia odbiorczego. Natomiast drugi horyzont jest w nim nieodmiennie elementem aktywnym: do rozumienia dzieła czytanego odbiorca dochodzi głównie poprzez jego relatywizację do zasobu dzieł już przez siebie rozumiejąco przeczytanych – przede wszystkim kategoriałnie podobnych do nowo poznawanego. Nowe czyta poprzez pryzmat tamtych i w relacji do nich ocenia. Swoją lekturą wprowadza je w pewną konfigurację tekstów, sytuuje w bliskościach i oddaleniach wobec nich, rozpoznaje (czy ustanawia) międzytekstowe pokrewieństwa i obcości.

Jednakże dla historyka literatury cały ten trud wtórnej intertekstualizacji, podejmowany w każdej lekturze dzieła, będzie na zawsze bezowocny, jeśli sam nie pozostawił po sobie tekstowego świadectwa. W tej perspektywie na nowo mogą okazać się obiecujące badania nad pisarstwem krytycznoliterackim, które dostarcza najbardziej wymownych świadectw lektury. Sytuacja wypowiedzi krytycznej daje się opisywać jako zespół relacji intertekstualnych. Wypowiedź taka jest, po pierwsze, metatekstem w stosunku do utworu lub zbioru utworów: coś o nich orzeka, objaśnia ich funkcjonowanie, ocenia. Po wtóre, cytując tak czy inaczej w swoich ramach utwór pisarza, żywi się poniekąd tym utworem, kształtuje przy jego współdziałaniu (wymuszonym) nową całość tekstową. Tworzy – po trzecie – swoimi środkami rozmaite ekwiwalenty tekstu, do którego się odnosi: daje jego streszczenie czy parafrazę, a może nawet próbować imitacji jego stylu. I na koniec: włącza się w jakiś zbiór wypowiedzi krytycznych, odnoszących się do tego samego tekstu (taki zbiór nazwałem ongiś konstelacją).

18 VIII '87

*

Kluczowe dla teorii intertekstualności pojęcie i n t e r t e k s t u bywa rozumiane trojako:

1. jako tekst „wchłaniający mnogość tekstów” (L. Jenny),
2. jako zbiór – w krańcowym wypadku jednoelementowy – tekstów, do których odsyła dany tekst (m.in. M. Riffaterre),
3. jako zbiór tekstów pozostających między sobą w relacji intertekstualnej (w tym sensie jest równoważny „przestrzeni intertekstualnej”, o której, za Kristevą, mówiło wielu).

Sławiński Bez przydziału (VII)

Stosowniejsze od pozostałych wydaje mi się pierwsze rozumienie, ponieważ znajduje się najbliżej prymarnej intuicji, z której można wyprowadzić całą tę teorię: że mianowicie „fundamentem tekstualności jest intertekstualność”.

4 IV '88